

# Grzegorz Bazylak

## Cieszę nas ubogacanych w XXI wieku

Płonące od rana w hiszpańskich portach świeżo  
odremontowane jachty miliarderów znad East River  
i katamarany milionerów zza Buga martwe meduzy

dryfujące obok koników morskich w cuchnącym  
szlamie słonowodnej laguny Mar Menor wypłoszone  
pojedynczymi strzałami a potem seriami i salwami

ze strzelb i karabinów dostarczonych za morderczy  
kredyt z Fort Worth stada pędzących na oslepek  
żubrów które dotąd spoczywały w bezruchu

na kapslach i puszkach po piwie wyrzuconych  
na piknikach pod strzelnicami przez obrońców  
uniijnych granic ale nie pokoju w Strefie Gazy

cętkowane trzmielie i pszczoły samotnice krążące  
wokół żmijowców kobaltowo i lazurkowo kwitnących  
w zaroślach Lasu Gdańskiego preferujące płciowy

dualizm latające w parach czarne émy i białe  
motyle które – ubiegając samice tygrysiich komarów  
i bojowe drony przed montażem – trzymają się

od nich z daleka jak i całej reszty tego wszystkiego  
co wkrótce zniknie zmiksowane po digitalizacji  
w jałowym obiegu super wydajnej produktywności

cyfrowych portfeli MAGA i budzących już tylko  
wstręt słów: *Liberté, Égalité, Fraternité ou la mort*

## Wilda na wspak

Kominy unosiły się z dymem serdeczny palec  
ugryzł niemowlę nerka straciła jednoróżca  
wierzchowce dosiadały swoich jeźdźców  
błąkały się wokół nas ulice i miasta szpitale

wypisały się z umarłych parki wkraczały  
w jesień okna przyklejały się do twarzy  
powieki wkręcały się w każdy sen szyby  
uderzały w deszcz brzegi biły w morze

drzwi waliły w zaciśnięte pięści narracje  
streszczały się w przestrzeń przejściowe  
trudności gromadziły się amfiladowych  
pokojach i dobierały do luksusowych

rajstop przemoc znała tylko dzieci świt  
nie wstawał przed piekarzem rzeźnikiem  
piwowarem bo ktoś musi być zawsze tym  
najgorszym gdy inni stają się najlepszymi

## Halloween

Przezroczyta mowa odbić kolorowy szalik  
w szkocką kratę który zastąpił czarny szal

pokryte złotem liście miłorzębów i niskich  
brzoźek w świetle zachodzącego słońca

brutalna gra w odbijanego od błękitnych  
ścian natrętne postukiwania w szare drzwi  
przerywany dźwięk z pogrążonego w apatii  
domofonu nagłe i ulotne gitarowe solówki

jak okrzyk mewy przeszukującej nieznanym  
terenem oczy w kroplach żywicy czekoladowe  
plamki na języku skóry przeciętego motyka  
leszczynowego ślepeca naocznego świadka

wyciągania ofiary z łóżek spod kory ściółki  
kamieni tych wszystkich którzy nie wierzą  
że groby poetów także umierają a potem  
śpiewają jak wampiria w jazzowych

solówkach niewidomego od urodzenia  
pianisty Tete Montoliu i wariacjach jego  
przyjaciela Jordi Sabatés Navarro

## Ślepa plamka

Na szpanerskich peryferiach w mieście muzyki  
za garażami z falistej blachy gdzie nie wiadomo  
dokąd zmierzamy ale kierunek jazdy wydaje się  
oczywisty powstał mini kartingowy tor po którym

zamiast wyścigowych bolidów i spuszczonej ze  
smyczy psów krążą gwiazdy tak jak powinno być  
w przekonaniu Zbigniewa Herberta w narzuconej  
nam opozycji indywidualizmu i podmiotu jak ślepe

plamki w których ogień trawi sam siebie ale nie  
wszystko co staje im na drodze puszczone wolno  
z dymem trzymanych w ustach waporyzatorów  
które dają paliwo wiszącym przy laptopie zamiast

kluczy i kodów dostępu do rzadkich pierwiastków  
w człowieku objętym sankcjami za niewinność  
jedzącego piasek popijany wodą byle się nie dać  
złamać widzialnemu i przemijającemu co tkwi

bez celu w jednym kręgu żyjących i nieżywych

## Trzecia droga

Skąd oni tutaj przychodzą ze zbłąkanych pacierzy  
niebieskich ścian czy to oni wjeżdżają w zakręty  
od kasztanowej alejki obok altany z kontenerami  
pełnymi oskórowanych zwłok saren kun i zajęcy

czy wychodzą spod zgniecionych kartonów jak  
atrament z przywiedzionych kapeluszy czernidłaka  
zza metalizowanych drzwi z judaszem przez który  
widać otwierającą się winę i uwolnione z niej

stado jerzyków kołujących nad koronami drzew  
czy podchodzą do ciebie nocą solo albo w parach  
srebrzyste kremowe czerwone pochylają się nad  
tobą jednym z milionów *deplorables* na chwilę

bezczelnie dobierają się do gardła wskakują na  
piersi szukają natarczywie dojścia do ust języka  
aż obudzisz się widząc zakutego w dyby poetę  
na zawalonym błotem rynku w Carcassonne – ?